



GIORGIO
MANGANELLI

CENTURIA

STO
KRÓTKICH
POWIEŚCI
RZEK

GIORGIO
MANGANELLI

CENTURIA

GIORGIO
MANGANELLI

CENTURIA

STO
KRÓTKICH
POWIEŚCI
RZEK

Przełożyła i opatrzyła postłowiem
Halina Kralowa



JEDEN

Załóżmy, że w jakimś momencie pewna osoba, która pisze list do drugiej osoby – płęć czy płcie nie mają znaczenia – zaczyna podejrzewać, czy też po prostu zdaje sobie sprawę, że jest lekko pijana. Nie, nie chodzi o upicie się przykre, hałaśliwe i odrażające – a tylko o fakt, że stan upojenia alkoholowego, hiperbola egzystencji, uwydatnia (jak kiedyś pisano w wypracowaniach) jej wewnętrzną ohydę.

Piszący, dotknięty odkryciem własnej nietrzeźwości, mógłby po prostu powstrzymać się od dalszego pisania. Przyćmiona jasność umysłu związana z nietrzeźwością mogłaby mu zasugerować powstrzymanie się od dalszej rozmowy. Gdyby się jednak powstrzymał od pisania, dałby racjonalne potwierdzenie nieracjonalności właściwej takiemu stanowi; a zatem zstąpienie z tronu osoby piszącej oznaczałoby uznanie samego siebie za trzeźwego naśladowcę, maskę, fałszerza siebie pijanego. Ale od chwili gdy odkrył lub uznał, że jest świadomy odkrycia swego zamroczenia, nie zamierza, nie chce, nie zniesie tego, by

z niego zrezygnować. A zatem od tej chwili jego nie-trzeźwość będzie świadoma, wybór dobrowolny, choć mocno doradzany przez senność, przez irytację moralną, przez dziwnie zespolone zakłopotanie i błogość, które wszystkie razem on uważa za objawy upojenia alkoholowego. A zatem będzie pisał dalej. Ale czy ma pisać, pilnując się jakoś szczególnie, czy odwrotnie, w sposób niewinny i swobodny, nie bacząc na wszelkie lapsusy? On nie chce się pilnować, bo wie od zawsze, że ostrożność prowadzi do milczenia, i to nie milczenia, które wiąże się z powściągliwością, ale bezrozumnego i brutalnego milczenia knebla. Zresztą w równym stopniu razi go niewinność, zwłaszcza niewinność, której szuka się we współnictwie z kieliszkiem sfermentowanego soku. Zaledwie jednak skończył pisać te słowa i zastanowił się nad nimi, nie mógł nie zadać sobie pytania, jaka inna niewinność istnieje poza tą, trochę toksyczną i niefrasobliwą. A więc to niewinność musi osądzić własną niewinność. Czyżby nie istniał żaden kompromis między tchórzostwem tej niewinności a godnością kłamstwa? „Mój drogi”, pisze, „jeśli wszystko jest podłe poza podłością, czyż nie powinienem dążyć do niewinnego spokoju podłości?”. Ale słowa odbierają mu odwagę i jest wściekły.

DWA

Pewien pan średniej kultury i dobrych manier spotkał po wielomiesięcznej nieobecności, spowodowanej przerażająco wojennymi wydarzeniami, kobietę, którą kochał. Nie pocałował jej; ale oddaliwszy się w milczeniu, długo wymiotował. Zdumionej kobiecie nie chciał podać żadnych powodów tych wymiotów; nie podał ich nikomu; i dopiero po długim namyśle udało mu się zrozumieć, że owe torsje wyrzucały z jego ciała niezliczone obrazy ukochanej kobiety, które się w nim nagromadziły i miłości go zatruwały. Ale w tej samej chwili zrozumiał, że nie będzie już mógł traktować tej kobiety tak, jakby między nimi istniała tylko miłość, miłość łagodna, która pragnie jedynie przewyciężyć wszelkie przeszkody i pozostać na zawsze miłością naskórkową; on doświadczył toksyczności uczucia i zrozumiał, że toksyczność oddalenia była jedynie alternatywą toksycznej bliskości i że zwymiotował przeszłość, aby dać miejsce przyszłym wymiotom. Aczkolwiek nie byłby zdolny wyjaśnić tego nikomu, wiedział, że to właśnie te torsje, a nie wzdychanie, są

niezbędnym symptomem miłości, tak jak śmierć jest jedynym pewnym symptomem życia.

Od tej chwili znajduje się w sytuacji cudownie uciążliwej, która nie pozwala mu ani lekceważyć, ani wychwalać, ani podziwiać kobiety, którą niewątpliwie kocha – więcej, kocha w sposób trudny do zniesienia, teraz gdy uczynił ją współuczestniczką wymiotów – ani podzielić się z nią własną tajemnicą, tym, że on, by zaakceptować ją całkowicie, musi ją wchłonać, uczynić własną aż do chwili, w której ona okaże się trucizną, o czym nie wie i czego on nie chce jej wyjaśniać. Tymczasem wszędzie życie staje się niepewne, grożą nowe wojny. W perspektywie szykują się nowi umarli, a ziemia staje się miękka w oczekiwaniu na mogiły. Wszędzie rozwiesza się odezwy mówiące o krwi. Ponieważ nikt nie mówi o torsjach, zakochany myśli, że problem jest albo nieznany, albo pozornie nieznany, albo zbyt dobrze znany. Całuje narzeczoną, powierza jej noc poślubną, dosiada, wymiotując, potężnego rumaka śmierci.

TRZY

Pewien pan niezwykle skrupulatny wyznaczył na następny dzień po południu trzy spotkania: pierwsze z kobietą, którą kocha, drugie z kobietą, którą mógłby kochać, trzecie z przyjacielem, któremu, mówiąc krótko, zawdzięcza życie, a może i zdrowe zmysły. W rzeczywistości żadna z tych osób nie odgrywałaby roli w jego życiu, gdyby nie odgrywały jej także te inne; toteż spotkanie popołudniowe ma podstawy nie tylko psychologiczne, ale i fatalistyczne. Niemniej jednak te trzy osoby, wzajemnie niezbędne, są wzajemnie nie do pogodzenia. Żadna z dwóch kobiet nie lubi przyjaciela, bo żadna z nich nie uratowała życia i zdrowych zmysłów tego pana, więcej, ich zachowanie, nietolerancyjne i dziwaczne, wymagało interwencji innego przyjaciela, rozsądnego i nieświadomie subtelного. Przyjaciel uważa pana za swoje arcydzieło i nie chciałby, aby był łatwo dostępny. Kobieta kochana nie ufa kobiecie, którą pan mógłby kochać, nie tyle z miłości, jaką zapewne darzy pana, który ją kocha, ile ze względu na prestiż, jaki uzyskał on, ryzykując popadnięcie

w szaleństwo i znajdując ratunek u przyjaciela, którego wszyscy chcieliby poznać i o którego talentach do ratowania wszyscy wiedzą, choć nikt nie śmie prosić o przedstawienie mu go oficjalnie; wreszcie kobieta, którą pan mógłby kochać, nie odwzajemnia miłości pana, który zresztą naprawdę jej nie kocha, ale wie, że jest przedmiotem miłości potencjalnej, i zdaje sobie sprawę, że taka możliwość, skazana prawdopodobnie na pozostanie niespełnioną, sprawia jej dużą przyjemność jako idealna mieszanka obojętności i namiętności, ale ta mieszanka zagrożona jest istnieniem kobiety kochanej, bez której zresztą nie byłoby tej kochanej potencjalnie, trzymałby ją na dystans przyjaciel, którego ona nie zna, ale boi się go jako osoby silnej i obojętnej. Pan zaprosił na spotkanie te trzy osoby, bo chciałby wyjaśnić i potwierdzić, że życie bez nich byłoby dla niego niemożliwe. On jest słaby, nadmiernie śmiertelny, trzyma się przy życiu tylko dzięki zbiegowi okoliczności. Chciałby zatem odegrać scenę melodramatycznej spowiedzi? Skądże znowu. Zrozumiał właśnie, że on tam nie pójdzie, bo jutro jest zbyt ciasne, by pomieścić jego i wyjaśnienia innych. Ale ciasny jest przede wszystkim on sam i wkroczenie jednocześnie trzech postaci niezbędnych i nie do pogodzenia zniszczyłoby go w jednej chwili.

CZTERY

Koło dziesiątej rano pewien pan solidnie wykształcony, o usposobieniu umiarkowanie melancholijnym, odkrył niepodważalny dowód na istnienie Boga. Był to dowód zawiły, ale nie na tyle, by nie mógł go pojąć umysł średnio filozoficzny. Solidnie wykształcony pan zachował spokój, raz jeszcze sprawdził dowód na istnienie Boga od początku do końca i na odwrót, i na zakończenie stwierdził, że zrobił dobrą robotę. Zamknął zeszyt z notatkami dotyczącymi definitywnego dowodu na istnienie Boga i wyszedł, by zająć się sprawami błahymi – słowem, by żyć. Koło czwartej po południu wracając do domu, zdał sobie sprawę, że zapomniał, jak dokładnie sformułowane były niektóre fragmenty przeprowadzonego dowodu; a wszystkie były, naturalnie, istotne.

Zdenerwował się tym. Wszedł do jakiegoś lokalu, by napić się piwa, i wydawało mu się przez chwilę, że jest spokojniejszy. Odnalazł jeden fragment, ale zaraz potem zauważył, że zgubił dwa inne. Liczył na notatki, wiedział jednak, że jego notatki były niepełne, i taki-

mi je pozostawił, bo nie chciał, by ktoś inny, choćby służąca, był pewien istnienia Boga, zanim on przeprowadzi skrupulatnie cały wywód. W dwóch trzecich drogi do domu spostrzegł się, że podczas gdy dowód na istnienie Boga tracił swoje mocne, zdumiewające cechy szczególne, on natykał się na argumenty, o których nie umiał powiedzieć, czy należą jeszcze do jego wyvodu pierwotnego. Czy był tam fragment dotyczący Otchłani? Nie, nie było, i nie było Śpiących Dusz, ale może był Sąd Ostateczny. Nie był tego pewny. Piekło? Nie sądził, aby to było możliwe, a jednak miał wrażenie, że długo roztrząsał problem Piekła i że jego istnienie umieścił w szczytowym punkcie swojego wyvodu. Dotarłszy przed drzwi domu, poczuł, że oblewa go zimny pot. Czego on tak naprawdę wykazał istnienie? Skoro coś okazywało się niewątpliwie prawdziwe i niepodważalne, ale niemożliwe do ujęcia w formułę nie do zapomnienia. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ściska w rękę klucz do domu i gestem spóźnionej desperacji cisnął go na środek pustej ulicy.

PIĘĆ

Pewien pan, który nikogo nie zabił, został skazany na śmierć za morderstwo; miał jakoby zabić z powodów finansowych swojego współnika, którego zachowań prywatnych nie zamierzał ani wyjaśniać, ani komentować. W sumie wydało mu się, że ponieważ chodziło o jego współnika, mogła mu przypaść w udziale kara bardziej hańbiąca. Sędziowie przyznali nawet, że on, morderca, został niegodnie oszukany. Prawdę mówiąc, choć był tego pewny, nie próbował nigdy dowiedzieć się, czy został oszukany i w jakim stopniu. Przyjął w myśli sensowną w przybliżeniu sumę dwóch trzecich zysku. W rzeczywistości, jak odkrył w czasie procesu, oszustwo było o wiele mniejsze. W tym sensie proces go ucieszył; upewnił go, że przyjaciel był oszustem, ale odkrycie, że był nieśmiały i powściągliwy, głęboko go wzruszyło. Starał się wyjaśnić, iż był przekonany, że chodzi o dwie trzecie, ale nigdy nie myślał o morderstwie. Czyż mógł zabić za tak drobną stratę? Na próżno; wytłumaczono mu, że ma niedobry charakter i cierpi na złudne poczucie wszechmocy.

Nie był jednak obłąkany, aczkolwiek miał więcej niż skłonność, miał rodzaj miłości do obłądu. Przyznał, że uwaga ta była zasadna. Od tej chwili nie próbował już bronić się w sposób rozsądny i uargumentowany. Fakt, że jemu, człowiekowi, którego łagodność graniczyła z opieszałością, przypadło skończyć przed sądem pod zarzutem morderstwa, wydał się mu tak zadziwiający i nieprawdopodobny, że w rezultacie urzeczywistnił jeden z wielkich tematów jego życia: osiągnięcia obłądu obiektywnego, nie tylko własnego obłądu, lecz obłądu strukturalnego, w którym wszystko jest trwale powiązane, wszystko wydedukowane, wszystko zamknięte. Żąda wszechmocy? Ależ on jest naprawdę wszechmocny. Skoro on, niewinny, uznany został za winnego morderstwa, to on i nikt inny jest kamieniem węgielnym obłądnej struktury. Co za trudna rola: nie mógł kłamać, bo wreszcie mieszkał w prawdziwym świecie, ani udawać obłądu bez wystawienia na niebezpieczeństwo całego gmachu szaleństwa. Wymagało to wielkiej rozwagi, ale tej mu nie brakowało.

SZEŚĆ

Pewien pan, który zna łacinę, ale nie zna greki, chodzi po domu i czeka na telefon. W rzeczywistości nie wie, na jaki telefon czeka ani czy telefon w ogóle zadzwoni. Przypuszczając, że żadnego telefonu nie będzie, nie wie, co to ma znaczyć. Z pewnością oczekuje telefonów od osób mających bliższy związek z jego życiem. Są telefony, których się boi. Wie, że jest człowiekiem, którego łatwo podejść, i za odrobinę spokoju gotów jest płacić własną krwią. Z powodów, których nigdy nie wyjaśnił do końca, ma wrażenie, że jest przedmiotem bezustannych ataków nienawiści i podejrzliwości, uczuć, które odczuwającym je dają pełne poczucie siły i każą im używać telefonu. Pewnego razu miał telefon od przyjaciela, któremu pożyczył pieniądze. Pieniądze pożyczone zostały przed trzema laty i nigdy niezwrócone, ale wykiełkowała z nich głęboka nienawiść. Przyjaciel próbował go nawet obić. Innym razem na próżno usiłował przerwać łkającej, porzuconej kobiecie, która nakręciła zły numer. Z tą ostatnią rozpoczął korespondencję telefoniczną, któ-

ra ciągnęła się przez kilka tygodni, aż do chwili gdy po tamtej stronie linii odpowiedział mu głos niezna-ny, kłótniwy i niewinny. Nie ośmielił się tam więcej dzwonić. Teraz mogłaby zadzwonić pewna kobieta, którą kocha, a która nie śmie kochać jego i odważa się na miłość tylko po długich okresach udręki, kobieta, którą kocha i która go kocha, ale zbyt jest zajęta, by zdać sobie z tego sprawę, kobieta, której on nie kocha, a która kocha jego, co mu pochlebia bez stwarzania sytuacji niezdolnie konfliktowych. Ale on chciałby właśnie zupełnie innego telefonu, nieprzewidzianego, zdolnego zmienić obraz życia, które wydaje mu się nieciekawe i właściwie tylko irytujące. Przypomina sobie, że przyjaciel pewnego przyjaciela opowiadał o telefonie od ojca nieżyjącego od sześciu lat. Był to telefon nieprzyjemny – ale ojciec miał zawsze niedobry charakter – w sumie krótki i błahy. Może był to kawał. Pan, który zna łacinę, chciałby nie czekać na telefony; telefony przychodzą ze świata, są właściwie jedynym dostępnym mu dowodem na istnienie świata. Ale nie na to, że on sam istnieje.

SIEDEM

Ten pan ubrany na ciemno, poruszający się w zamyśleniu uważnym krokiem, wie, że jest ścigany. Nikt mu tego nie powiedział, nie ma żadnego dowodu, że właśnie tak jest, ale on wie z absolutną pewnością, że ktoś go ściga. Nie wie nic o ścigającym, ale wie, że pościg zaczął się dawno, że ma jakąś przyczynę, choć nikt jej z wyjątkiem ścigającego nie zna, że prowadzony jest przemyślnie i z zajądlnością. O tym pościgu wie niewiele: po pierwsze, gdy znajduje się na otwartej przestrzeni, w tłumie, jest jakby mniej ścigany, niż kiedy jest w domu; nie chce przez to powiedzieć, że pościg zwalnia, że tłum przeszkadza ścigającemu, ale że pościg ulega ograniczeniu, jakby zmieniała się przestrzeń, w której się rozgrywa; wie, że pościg jest bardzo szybki i że zważywszy na powolność, z jaką on sam się porusza, nieuchronnie zostanie doścignięty, więcej, powinien być już zostać doścignięty i powinno wydarzyć się to, co nie może się nie wydarzyć, gdy ktoś doścignięty zostanie – co mianowicie, tego nie wie; ale wie również, że ścigający nigdy go nie dogoni, nawet gdyby

zatrzymał się na jakiejś ławce, udając, że czyta gazetę, w pełnym rezygnacji i bezbronnym oczekiwaniu. Ścigający wie, że dogoniwszy, już nie byłby ścigającym, a możliwe, że w planie stworzenia wyznaczone jest dla niego wyłącznie takie miejsce. Kiedy pan jest u siebie w domu, hałas pościgu, szybkiego biegu, tupotu niezliczonych stóp, ogłusza go, nie słyszy szelestu kartek, mówi głośno, by usłyszeć samego siebie. W rzeczywistości, w tym ścisłym i może archaicznym podziale ról, ścigany, choć wie, że nikt go nigdy nie dogoni, nie potrafi wyzwolić się od świadomości, że jest celem. Wie, że za jego plecami przestrzeń deformuje się tak, by zniweczyć wszelką nadzieję na doścignięcie go, ale wie również, że czas nie jest mu przyjazny i ta deformacja ma jedynie strzec jego roli celu. Cel zastanawia się, czy ścigający może być szczęśliwy, skoro groza sytuacji obydwu tkwi w niewykonalności zadania. Myśli, czy nie ma sposobu, by odwrócić się nagle i zacząć ścigać ścigającego.

OSIEM

Ten pan w jasnym garniturze spostrzega nagle nieobecność. Mieszka w tym domu od wielu lat, ale dopiero teraz, gdy już prawdopodobnie jego pobyt tutaj zmierza ku końcowi, zdaje sobie sprawę, że w jednym prawie pustym pokoju jest strefa nieobecności. Prawie pusty pokój jest zresztą pokojem jak inne; i gdyby nie nieobecność, nikt by nie zwrócił na niego uwagi. Nieobecność, rozumie się, nie ma nic wspólnego z pustką. Pokój zupełnie pusty może być pozbawiony nieobecności i prawdziwej nieobecności nie stworzy się, przedstawiając szybko jakiś mebel. Nie stworzy się nic. Teraz niemłody już pan, który przeżył wiele lat w tym domu, który niezliczoną ilość razy przechodził przez ten pokój, odkrył, że to, co jest w tym kącie, to nie pustka, lecz nieobecność. Wie również, że przechodził tędy tyle razy i że on sam, nie wie jak, jest w tę nieobecność uwikłany. Przygląda się jej uważnie i naturalnie niewiele rozumie. A jednak coś w jego życiu w tym domu wydaje mu się mniej jasne. Wiadomo, że nieobecności niełatwo zmieniają mieszka-

nia, i możliwe, że potrzeba przebywania w pobliżu tej nieobecności skłoniła go do przedłużania z roku na rok pobytu w domu, którego nie lubi, wśród mebli, które są mu obce. Z wyjątkiem nieobecności wszystko w tym domu jest mu obce. Nieobecność jest tak ważna, że mógłby zrezygnować ze wszystkiego, co czyni jego życie znośnym – chociaż znośnym nie jest – byle nie oddalać się od niej. Korci go naturalnie, by zadać sobie wiele i różnych pytań na temat tej nieobecności. Człowiek ma zawsze na wargach pytanie „Co to jest?”. Ale on nie na próżno się zestarzał. Systematycznie eliminuje wszelką pojawiającą się w nim chęć pytania, dowiadywania się, dociekania. Ciemność czy światło są mu obojętne, tak samo jak miłość czy porzucenie. Wie, że nieobecność jest obojętna, ale wie również, że ta tutaj jest tak ważna, iż bez niej popadłby w całkowitą desperację. Jedna tylko rzecz go zdumiewa: że tak późno – gdy już po wszystkim – odkrył, że nigdy nie został porzucony, jak sądził, ale od zawsze współżył z obojętnością, w której teraz widzi wyjaśnienie faktu, dlaczego nadal żyje.

DZIEWIĘĆ

Ubrany dość staromodnie, lecz nie bez elegancji pan przebiega ostatnie metry, jakie dzielą go od domu. Jego powrót uległ opóźnieniu z powodu nieprzyjemnej, tnącej deszczem wichury, lekkiego trzęsienia ziemi i głosów o epidemii. W czasie drogi do domu kilka razy zabłądził, zmuszony obchodzić ogromne leje, zwalone domy, stosy płonących trupów, pola obstrzału karabinów maszynowych, broniących przed rabunkiem świątyń pełnych niewiarygodnych skarbów. Teraz, gdy przypomina to sobie dokładniej, stwierdza, że jego droga powrotna zaczęła się przynajmniej kilka dni temu; ale gdy obchodzi przezornie dziwną maszynę, która właśnie wybucha, spostrzega, że ściska w rękę gazetę z datą o kilka lat wcześniejszą i tytułem mówiącym o chlubnej wojnie, która, wie to na pewno, już dawno się skończyła, choć nie potrafi powiedzieć, kto ją wygrał. Chociaż stara się myśleć logicznie, nie może wyjaśnić sobie w sposób zadowalający władających nim uczuć spokoju, powagi i satysfakcji. Nie ulega wątpliwości, że jego dom mógł zostać co najmniej